

Alessandro Pronzato

Kiedy kwitną ciernie



Profil biograficzny
błogosławionej M. Józefiny od Jezusa Ukrzyżowanego
karmelitanki bosej



FLOS CARMELI
POZNAŃ 2012

© Flos Carmeli, Poznań 2012

Tytuł oryginalny

Quando fioriscono le spine. Profilo biografico della Beata M. Giuseppina
di Gesù Crocifisso, carmelitana scalza

© Pierro Gribaudi Editore srl 2009

Z języka włoskiego przełożyła

Siostra Karmelitanka Bosa z Tarnowa

Redakcja

Wojciech Ciak OCD

Korekta

Zofia Błajek

Imprimatur

Ks. Bp Marek Jędraszewski, Wikariusz Generalny
Poznań, dn. 20.02.2012 r., N. 806/2012

Nil obstat

O. Paweł Placyd Ogórek OCD, Cenzor
Poznań, dn. 10.02.2012

Imprimi potest

Roman Jan Hernoga OCD, Prowincjał
Warszawa, dn. 17.02.2012 r., L. dz. 18/P/2012

Wydawca

FLOS CARMELI Sp. z o.o.

ul. Działowa 25, 61-747 Poznań

tel.: 61 856 08 34; faks 61 856 09 47

e-mail: wydawnictwo@floscarmeli.poznan.pl

www.floscarmeli.pl

Druk i oprawa

TOTEM – Inowrocław

ISBN 978-83-62536-47-4

PRZEDMOWA DO POLSKIEGO WYDANIA

W niedzielę 1 czerwca 2008 roku w katedrze neapolitańskiej odbyła się beatyfikacja Marii Józefiny od Jezusa Ukrzyżowanego, karmelitanki bosej, przeoryszy klasztoru w dzielnicy Ponti Rossi w Neapolu, żyjącej w latach 1894-1948. W polskiej literaturze karmelitańskiej ukazały się dotychczas tylko *Mysli*¹ i krótka biografia² Błogosławionej. Odczuwało się więc, i to nie tylko w środowiskach karmelitańskich, potrzebę obszerniejszej pozycji, traktującej w naszym języku o tej wybitnej postaci. Dlatego też należy podziękować Wydawnictwu Flos Carmeli z Poznania za inicjatywę opublikowania niniejszej książki o Błogosławionej, autorstwa Alessandro Pronzato, włoskiego kapłana, wybitnego pisarza i dziennikarza, znanego także na polskim rynku wydawniczym, a nadto duszpasterza i rekolekcjonisty, który często gościł w wielu polskich środowiskach eklezyjalnych.

Jakkolwiek bł. Maria Józefina od Jezusa Ukrzyżowanego całe swoje życie spędziła w swym rodzinnym mieście – Neapolu, który w pierwszej połowie XX wieku przeżywał szczególnie rozluźnienie moralne, spowodowane biedą materialną mieszkańców za czasów dyktatorskich rządów Mussoliniego, potrafiła

¹ Czcigodna Maria Józefina od Jezusa Ukrzyżowanego, *Mysli*, Wydawnictwo Karmelitów Bosych Kraków 2005, 110 s.

² P. Risso, *Na progu namiotu. Bł. Maria od Jezusa Ukrzyżowanego OCD (1894-1948)*, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2010, 100 s.

w tym grzesznym otoczeniu, obejmując swymi ramionami Krzyż Chrystusa, płynąc niejako pod prąd. Stała się ewangelicznym znakiem sprzeciwu i rozsiewając wokół siebie chrześcijańską miłość i miłosierdzie, osiągnęła pełnię ewangelicznej doskonałości, czego pragnie nas uczyć.

Tłumaczenia książki podjęła się jedna z Sióstr Karmelitanek Bosych z Tarnowa, która wcześniej przełożyła już wspomnianą biografię pióra Paolo Riso. Siostra nie wyraziła zgody na podanie jej imienia. Jednak okazujemy jej i całej Wspólnocie sióstr Karmelitanek Bosych z Tarnowa naszą wdzięczność za podjętą pracę w propagowaniu postaci ich neapolitańskiej współsiostry w powołaniu.

Jestem przekonany, że ktokolwiek sięgnie po niniejszą książkę, zachwyci się jej lekturą. Zaś poznanie życiowej drogi jej Bohaterki, kolejnej Błogosławionej Karmelitanki Bosej, wyniesionej przez Kościół do chwały ołtarzy (w ostatnim półwieczu było ich 13³), będzie przypomnieniem o powszechnym powołaniu do świętości, o którym tak często mówił bł. Jan Paweł II, dając nam równocześnie wspaniały przykład osobistej świętości życia i obficie czerpiąc życiodajne soki z duchowości karmelitańskiej.

Każdemu Czytelnikowi książki życzę miłej lektury i wstępowania na drogę ewangelicznej doskonałości jej Bohaterki. Życzę – cytując Autora, jakkolwiek w małej parafrazie – znalezienia się niejako w „jej” wspólnotie, która żyje radykalnymi wymaganiami ewangelicznymi, interpretuje w sposób rygorystyczny surową Regułę Karmelu, praktykuje pokutę, posty, milczenie, klauzurę

³ Mianowicie: bł. Maria od Jezusa (1976), bł. Maria od Jezusa Ukrzyżowanego (1983), bł. Elżbieta od Trójcy Świętej (1984), bł. Maria Pilar od św. Franciszka Borgiasza (1987), bł. Maria od Aniołów (1987), bł. Teresa od Dzieciątka Jezus (1987), św. Teresa Benedykta od Krzyża (1987), św. Teresa od Jezusa z Los Andes (1987), św. Maria Maravillas od Jezusa (1998), bł. Maria Sagrario od św. Alojzego Gonzagi (1998), bł. Maria Kandyda od Eucharystii (2004), bł. Eliasza od św. Klemensa (2006) i bł. Maria Józefina od Jezusa Ukrzyżowanego (2008).

i, naturalnie, także radość, tak bardzo zaraźliwą; we wspólnocie, która doświadcza dzień po dniu interwencji Opatrzności Bożej; we wspólnocie, która daje zrozumieć, co to jest modlitwa, co znaczy mieć wiarę i co pociąga za sobą wierność; we wspólnocie, do której się podąża nie po to, aby jej coś dać, ale po to, by coś otrzymać: by pobrać zaliczkę nadziei i napełnić się światłem; by w końcu otworzyć się na bezgraniczną przestrzeń wolności, której Błogosławiona doświadczała za kratą klauzury.

o. Szczepan T. Praškiewicz OCD
Konsultor Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych

Lublin, 16 lipca 2011, w uroczystość Matki Bożej z Góry Karmel.

KTO, GDZIE, KIEDY

DŁUGO NIEROZPAKOWYWANA PACZKA

Pomimo listów rekomendacyjnych, paczka znalazła się w schowku.

Weźmy, jakby dla żartu. Ale to nie jest żart.

Była sobie raz paczka mało pociągająca... Albo: były sobie mniszki nieznane nikomu... I także: pewnego razu był kapłan uzbrojony w pióro, niemający ochoty pisać o nich, pomimo przynaglenia kardynała i nuncjusza. Wierźcie albo nie, ale historię książki poświęconej siostrze M. Józefinie od Jezusa Ukrzyżowanego, karmelitanke bosej, ogłoszonej błogosławioną, można opowiedzieć również w ten trochę dziwny sposób.

A zatem. Otrzymałem pewnego dnia list, bardzo sympatyczny i delikatny, od przeoryszy klasztoru w Neapolu, o którym nawet nie wiedziałem, gdzie się znajduje (klasztor, nie Neapol...), która uprzejmie mnie prosiła, również w imieniu swoich współsióstr, pilnych czytelniczek moich książek, abym napisał biografię jednej z ich sióstr, która...

Odpowiedziałem w sposób zdawkowy, jak to się w takich przypadkach robi, dając do zrozumienia, że jestem zawałony pracą, zobowiązaniami, przyduszony terminami wydawniczymi, jednak prosząc, by przysłały mi materiały, jakimi dysponują. Przeszudiuję je spokojnie i, jeśli sprawa nie jest nagląca, zobaczę, co da się zrobić (w domyśle: jeśli postać mnie zainteresuje...).

Wkrótce dotarła do mnie ogromna paczka poobwijana sznurkami (w tym czasie poczta w Neapolu działała..., niestety dla

mnie). Nie było w niej żadnej niezwykłości, która byłaby w stanie pobudzić mnie do jej otwarcia i sprawdzenia jej zawartości. Więc ją pozostawiłem.

Potem nadszedł list z płomiennym herbem episkopalnym. To kardynał Corrado Ursi, arcybiskup miasta św. Januarego, zachęcał mnie ze słodyczą, ale i z pewną mocą, by zadośćuczynić pragnieniu tych „dobrych mniszek”, bo na to zasługują. Poza tym, mniszka, o którą chodziło była osobistością cieszącą się w Neapolu i jego okolicach wielką popularnością i, co więcej, słuszną sławą świętości, więc nie powinna mnie rozczarować.

Następnie nadszedł inny list, z innym płomiennym herbem, podpisany przez nuncjusza w Berna, który pisał mniej więcej to samo, co kardynał Ursi.

Dwa listy czcigodnych prałatów wywołały efekt przeciwny ich oczekiwaniom. Mamrotałem przez zęby: „Co za typy te siostry, że rekomendują je takie wybitne osobistości?...”. Chwyćłem paczkę, wciąż jeszcze nietkniętą, i umieściłem w skrytce. Niech tam stoi, w przedpokoju, póki nie przyjdzie mi ochota na jej otwarcie i pobieżne przejrzenie zawartości. Było rzeczą raczej mało prawdopodobną, by mogła mnie zainteresować.

OSOBISTY CUD

Wyznaję z rumieńcem na twarzy (już spóźnionym). Siostra Józefina została mi przysłana w pocztowej paczce uzbrojonej w sznurki. A ja po chamsku kazałem jej wyczekiwać przez kilka lat w ciemnym schowku, jakby to był „jej” św. Jan od Krzyża.

Regularnie, na Boże Narodzenie i Wielkanoc dzwonił telefon i delikatny głos przeoryszy przy składaniu rytualnych życzeń pytał dyskretnie z rozbrajającą prostotą, na jakim etapie znajduje się moja praca, co myślę o siostrze Józefinie. Odpowiadałem wymijająco, że właśnie nad tym myślę, gromadzę notatki, ale trzeba

mieć jeszcze cierpliwość. Konieczne było, by ta osobistość weszła mi do „wnętrza”. Ale czy wydawała mi się interesująca...

Kłamałem bezwstydnie. W rzeczywistości paczka pozostawała zapieczętowana i pokrywała ją już warstwa kurzu. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że siostra M. Józefina właśnie dokonywała jednego ze swych „cudów”. Rzeczywiście, wchodziła mi „do wnętrza”, pomimo że pozostawała owinięta mocnym kartonem paczki w kolorze brązowym (który był zresztą kolorem habitu jej chwalebnej rodziny zakonnej). Ale miałem się o tym upewnić dopiero później.

Naturalnie, nie mogłem stawić się przed Trybunałem Kościoła i złożyć świadectwa o tym cudzie, zaśmiano by mi się w twarz. A zresztą, lekarze zajmowali się innego rodzaju cudami. Gdybym potrzebował psychologa albo psychiatry, zrobiliby to... Ale teraz jestem w stanie zagwarantować, że właśnie to mi się zdarzyło.

OLŚNIENIE

Pewnego dnia, nie wiem dokładnie, z jakiego powodu, w końcu doszło do tego, że uzbroiłem się w nożyczki, by poprzecinać sznurki sławnej paczki, na której tymczasem warstwa kurzu doszła do grubości kilku milimetrów. Wyciągnąłem ręce na chybił trafił po jeden z zeszytów. Zawierał Dziennik siostry Józefiny. Przerzuciłem kilka kartek, przeczytałem tu i tam jakieś zdanie. Zostałem dosłownie olśniony. Bogactwo duchowe niewiarygodne i szczyty mistyki zapierające dech. Od tego momentu pragnienie, już teraz niepowstrzymane, poznania wydarzeń, charakteryzujących drogę tej Siostry, stało się dla mnie torturą.

Książkę napisałem w ciągu kilku miesięcy. Pewnego wieczora, wydaje mi się, że było to w okolicach Bożego Narodzenia, triumfalnie zakomunikowałem „nieznanym mniszkom” wiadomość, na którą czekały już od tak długiego czasu, ale co do której nie miały żadnej wątpliwości (one, oczywiście, wierzyły, że Opatrz-

ność działa także w opornych i krnąbrnych pisarzach). Jednak pozostało w nich pewne zakłopotanie. Jedna z nich mi wyznała, że na rekreacji moja wiadomość wywołała uśmiechy, nawet niemaskowane, typu: „czy to aby prawda?...”. A książka rzeczywiście była zakończona i wyszła drukiem w 1987 roku.

W DOMU NA PONTI ROSSI

Gdy udałem się do Neapolu w towarzystwie mojego wydawcy, Piero Gribaudo, w celu zaprezentowania książki publiczności, której liczebność i zainteresowanie sprawą przechodziła wszystkie moje wyobrażenia, mogłem w końcu poznać mniszki, których sprawa dotyczyła (nieobecne..., ale obecne dla świętej Klary). Odtąd kontakt między nami nigdy już nie został przerwany. Z częstotliwością dwa razy do roku przybywam do Karmelu na szczycie wzniesienia Santa Maria dei Ponti Rossi w celu odbycia rekolekcji lub kursu biblijnego.

W dniu braterskiego spotkania przy kracie, podczas swobodnej rozmowy (zawsze zza podwójnej kraty), wyznałem kulisy całego wydarzenia. Matka M. Pia, z całym swoim dowcipem uległa i wyjawiała mi to, co podczas niekończącego się oczekiwania myślała o mnie, kończąc życzliwie: „Jednak, co za urwis...”.

Ponieważ pewien rodzaj zażyłości już nas łączył, pozwoliłem sobie na prowokację, mówiąc: „Właściwym określeniem, Matko, nie jest «urwis», ale «nieprzyzwoity typ»”. Ona, bez zmieszania, przytaknęła, uśmiechając się z pobłażaniem. Jednak dla mnie to mało pochlebne „nieprzyzwoity typ” (które zresztą bardziej mi odpowiada) dorównuje prztyczkowi, niemal matczynej pieszczocie.

Ostatecznie tak się wszystko zakończyło, że powstała zмова między siostrą Józefiną a moją babcią Józefiną.

NIC NOWEGO DO POWIEDZENIA

Z dystansu dwudziestu dwu lat, wzięłem do ręki i raz jeszcze przeczytałem (prawie nigdy tego nie robię w odniesieniu do moich książek) tę książkę. Poproszony o przygotowanie nowego wydania, tym razem odpowiedziałem natychmiast i z entuzjazmem.

Dodałem po prostu tę prezentację, rozdziały opowiadające o beatyfikacji i cudzie, nie za bardzo wymyślony wywiad (który, uważam, dałby syntezę życia siostry M. Józefiny) i kilka innych drobnych rzeczy dotyczących przede wszystkim ciągłości jej obecności u słynnej kraty. Nie znalazłem nic istotnego, co wymagałoby korekty ani dopełnienia. Dla mnie siostra Józefina pozostaje zawsze taka i to mi wystarcza (mam nadzieję, że i dla czytelników, którzy jej jeszcze nie znają).

Bardziej niż do mówienia i pisania o tej szczególnej mniszce, mam wiele rzeczy, które chcę jej powiedzieć i o wiele rzeczy ją zapytać. I czynię to za każdym razem, gdy klękam i lekko dotykam czołem ołtarza, znajdującego się w jasnym kościele klasztorным, który zawiera jej doczesne szczątki. Ale rozumiemy się wzajemnie także, a zwłaszcza na odległość.

Siostra Józefina, w niebie, czego jestem pewien, otwiera szeroko paczki i nie każe czekać na odpowiedzi. Jest to jej specjalny sposób zemsty w stosunku do mnie. A wszystko ze wsparciem Matki Pii, która jej pewnie powiedziała z pobłażaniem o pewnym „nieprzyzwoitym” księdzu.

RUMOR ŚWIĘTOŚCI

Gdy jeszcze żyła, przez wszystkich (prawie) była nazywana „świętą mniszką”. Broniła się mówiąc, że to pomyłka. Ona była „niczym”, „zerem”, „biedną siostrą”. I, nie chcąc tego, więcej – sądząc, że skutecznie zaprzecza, nie robiła nic innego, jak tylko potwierdzała spontaniczną kanonizację ludu.

Świętość, w rzeczy samej, przedstawia cyfrę zdumiewającą, przyprawiającą o zawrót głowy, napisaną przez Boga, którą się dolicza do zera stworzenia. Boża arytmetyka zaczyna się zawsze i jedynie od zera. Nasze cyfry stają się wielkie, jeśli dopisujemy zera. W rachunkowości Boga natomiast, zero stoi na początku, stanowi bazę wyjściową.

„Na początku było zero...”.

Jeśli stworzenie zdoła liczyć aż do zera, wszystko potem staje się możliwe. Wszystko, szczególnie to, co niemożliwe. Świętość, by mogła rozkwitnąć, potrzebuje nicości. Jak pierwszego dnia, Bóg stwarza, posługując się nicością. „Nicość” jest materiałem konstrukcyjnym. Artysta nie może się bez niego obyć.

Siostra Józefina była „mniszka święta” właśnie dlatego, że była „biedną siostrą”.

Przed kratą w Karmelu na Ponti Rossi tłoczył się tłum ludzi, ponieważ rozchodził się wokół „rumor świętości”. Właśnie tak, świadectwa są zgodne: „rumor świętości”. W atmosferze sympatycznie hałaśliwej, tak typowo neapolitańskiej, świętość „czyni rumor”. Nie może być inaczej. Ale jest innym rumorem. Który się narzuca. Który góruje nad głośnymi, ordynarnymi głosami. Rumor, który nie prowadzi cię na plac, ale wprowadza w półmrok prostej celi – tam, gdzie, jeśli zdołasz uleczyć głuchotę, możesz usłyszeć głos ciszy.

Harmider targu pozostawia cię w twoim mroku. Rumor świętości wprowadza cię na miejsce sekretne, tam, gdzie zostaniesz ogarnięty świetlistym milczeniem.

Święta mniszka. Rumor świętości. Otóż tak, właśnie. Wszystkie mniszki powinny być święte. Również i kapłani. I chrześcijanie. Powinni być. Ale w końcu, tu jest jednak siostra Józefina. A tu jesteśmy my... I jakiegokolwiek porównania dokonalibyśmy, stosując nieskończoną ilość luster, podobieństwa nie widać. Nie widać z tej prostej przyczyny, że go nie ma.

Usiłujemy zwrócić na siebie uwagę. Albo przynajmniej staramy się. Robimy wszystko, by wzbudzić podziw, szacunek, nawet aplauz. Wykonujemy pilnie nasze śmiałe zadania, te, ma się rozumieć, niezbyt zobowiązujące. Udzielamy naszych zarozumiałych lekcji chrześcijaństwa. Miotamy się, rozpalamy, dostajemy zadyszki. Wyciągamy palec karcący, rozwieramy gościnnie ramiona. Grozimy i przekonujemy. Grzmiemy i popłakujemy. Pokazujemy i indoktrynujemy. Programujemy i improwizujemy. Tworzymy rzeczy nowe i powtarzamy się.

Naciskamy klawisz apokaliptyczny. Albo ten ludzki – cierpliwości, tolerancji, współczucia. Dmuchamy pełną piersią w trąbę obwieszczając karę. Albo modulujemy delikatne nuty miłosierdzia. Mocno potrząsamy sygnałem alarmowym. Albo szarpiemy palcem sentymentalne struny. Wymachujemy kodeksem. Albo patetycznie odwołujemy się do serca.

Jesteśmy obecni na wszystkich imprezach. Nie pozwalamy, by brakowało naszego głosu w jakiegokolwiek dyskusji, na jakikolwiek temat. Nie ma zebrania, zgromadzenia, spotkania, na którym nie ofiarowalibyśmy, proszeni czy nie, „naszego wkładu”. Decydującego i nierozstrzygującego. Cennego i nieskutecznego. W każdej sytuacji śpieszymy się, by przedstawić „nasz punkt widzenia”. Gdyby nie było mikrofonów, wszyscy byśmy cierpieli na chrypkę (może nie byłoby to nieszczęście nie do naprawienia: mogłoby się nawet okazać błogosławieństwem).

Ale rumor świętości jest czymś zupełnie innym. Nasz rumor miesza się z hałasami innych i wzmaga zamieszanie. Natomiast rumoru świętości nie da się pomylić z niczym innym. On zmusza ludzi do wdrapania się po dróżce prowadzącej do Karmelu na Ponti Rossi i do rozwikłania, z twarzą zdobną w rumieniec, gmatwaniny serca przed żelazną kratą, zza której wygląda „biedna siostra”. Totalnie uboga, starta do zera, aż do stanu „świętej mniszki”, która ubogaca wszystkich. Ta, która ze swoim „nic” ofiaruje „wszystko”.

Tak. Rumor świętości. Kogoś, prawdopodobnie, będzie razić to wyrażenie. Usprawiedliwiamy się mówiąc, że świętość nie czyni hałasu. Wolimy mówić szeptem. I to prawda. Świętość nie czyni hałasu. Szczególnie, gdy jej nie ma. Ale ta siostry Józefiny, stworzenia milczenia, kto wie dlaczego, czyni rumor. Rumor, który przemienia, stwarza na nowo harmonię, przywraca pokój tyłu zabałaganionym egzystencjom.

Dlaczego dziś w świecie tak rzadko słyszy się „rumor świętości”?

Siostra Józefina napisała zdanie konsternujące: „Świętość nie jest trudna, ale łatwa, więcej – bardzo łatwa”. Gdy przeczytałem po raz pierwszy te słowa, uderzyły mnie jak policzek. A oto wyjaśnienie.

Wolimy wszyscy wykonywać rzeczy trudne. Ponieważ, mimo pozornej sprzeczności, jest to bardziej wygodne. Okazuje się, że o wiele łatwiej jest robić rzeczy trudne niż pozwolić Bogu na wykonanie w naszym życiu rzeczy straszliwie łatwej dla Niego, więcej – najłatwiejszej, jaką jest świętość. Łatwa, najłatwiejsza dla Niego. I konieczna dla nas.

Odwagi, zdobądźmy się na śmiałość i idźmy w kierunku Ponti Rossi. Tam jest pewna „biedna mniszka”, która ma nam coś do powiedzenia i do dania w odniesieniu do świętości. Zawsze, aby nasze uszy, w których aktualnie zamieszkują wszystkie ogłuszające hałasy, przyjęły, że są definitywnie zranione przez niebezpieczny rumor świętości. Tak, ponieważ jest ryzyko, że już się nie wyleczą. By stać się obojętnym na inne hałasy. By nie słyszeć więcej innych głosów.

Słyszac rumor świętości dostrzegamy podstęp Boga. Ten rumor jest dzwonkiem alarmowym, szpiegiem. Obwieszcza obecność pułapki. Chcielibyśmy uciec. Udaremnić podstęp. Umknąć pułapce, niechby się zatrzasnęła próżna. A jednak to jest wezwanie,

przemóżne, prawie nie do odparcia, dręczące i nęcące, niepokojące i uspokajające, które dobiega z Karmelu na Ponti Rossi.

Jest siła, która cię ciągnie po tej ścieżce. W kierunku „świętej mniszki”. W kierunku ciebie samego. Jeśli tylko zostaną ci udaremnione, odcięte, wszystkie drogi ucieczki, będziesz ocalony. Jedynie kiedy zaniechasz sprzeciwu, jeśli się poddasz, zegniesz się, więcej – dasz się załamać, potrzaskać, odnajdziesz się na nowo, staniesz na nogach. Nieskazitelny. Nowy. Nawet trochę podobny. Wręcz przygotowany na próbę łatwego przedsięwzięcia, więcej – łatwiutkiego. Tak łatwego, że wymagającego niewiarygodnej dozy odwagi.

Cokolwiek się na ten temat mówi, to nie rzeczy trudne nas przerażają. Boimy się rzeczy łatwych, więcej – łatwiutkich.

Siostró Józefino, dzięki za rumor.

ŻEBRZĄCY O ŚWIATŁO, WYDEPTUJEMY BŁOTNISTĄ DROGĘ

W Neapolu wszyscy znają tę dróżkę. Ale dla tego, kto przychodzi spoza miasta, niełatwo jest ją nakreślić. Trzeba zatrzymać się wiele razy, prosić o informacje. W każdym razie, trzeba przejść pod starymi arkadami na Ponti Rossi i zaraz potem skrócić ostro w lewo, i rozpoczyna się wspinaczka na Santa Maria ai Monti, po drodze cechującej się dwoma bardzo ostrymi zakrętami.

Dziś ta dróżka w niektórych porach dnia, a szczególnie nocą, prezentuje się zdecydowanie niepokojąco i mizernie. W czasach siostry Józefiny była to zaledwie jedna polna droga przyduszona pyłem, gdy trwała posucha, a pełna błota, gdy spadło na nią zaledwie kilka kropel deszczu.

Na końcu stromej ścieżki, po prawej stronie zarysowuje się imponujący masyw konwentu ojców pasjonistów, z charakterystyczną basztą i pięknymi arkadami kościoła. W tle, zza wysokiego muru wyglądają czupryny wiekowych drzew z lasku Capodimonte. W murze zrobiono wyłom i wmurowano wielką żelazną

bramę, której skrzydła obecnie zawsze są zamknięte. Jednak wiele lat temu zostały otwarte, by umożliwić przejazd królewskiemu powozowi, który zdążał tam, gdzie kierowali się zwykli ludzie zmuszeni z trudem piąć się po przeciwnym zboczu, wzdłuż drożki pełnej pyłu lub błota – zależnie od aury.

Niekończąca się procesja. Większość wspinała się na piechotę. Ale byli też i prałaci, wybitne osobistości z arystokracji, ze świata kultury, sztuki, medycyny, urzędnicy państwowi, każący się przywozić powozami albo samochodami. Wszyscy są żebrakami świata, nadziei i pociechy, i zajmują miejsce w kolejce przed kratą, zza której ukazywała się siostra Józefina od Jezusa Ukrzyżowanego.

Przed tą kratą i przed tą mniszką karmelitańską z ciałem zmaltretowanym przez niezliczone choroby składali swoje własne bóle, własne smutki i troski, własne udręki. Albo poddawali się laserowi przenikliwych oczu, zdolnych spenetrować głębię duszy, zdiagnozować ukryte rany, wydobyć dramaty, te najbardziej intymne, i rozplątać gmatwaninę spraw narosłą w sercach. Jest to krata, która nie oddziela, ale jest otwarta na oścież, na świat, i przygarnia najbardziej niewiarygodne kształty nędzy ludzkiej.



jedyną Główną Postacią, absolutnym Twórcą jej powołania (i oczywiście bezsprzecznym).

Pinello, teraz zrozumiałaś, co czeka cię za otwartymi drzwiami. I wiesz również, że gdy ktoś jest ukrzyżowany, nie ma więcej możliwości „wyjścia”. Przygwożdżona... do wolności, teraz możesz wykrzyknąć, jak Jeremiasz:

Uwiodłeś mnie, Panie,
a ja pozwoliłem się uwieść.
Schwyciłeś mnie i przemogłeś (Jr 20,7).

W przypadku Józefiny można naprawdę powiedzieć, że Bóg odwołał się do subtelnego oszustwa odejścia prowizorycznego, do próby sił mocą krzyża, by osiągnąć to, czego chciał. Teraz siostra Józefina jest przekonana, że wahadło zostało zatrzymane siłą. Miłość jest zawsze najsilniejsza. A ona, oprócz tego, że świętuje zwycięstwo Miłości, która ją uwiodła, świętuje własną słabość. Tak, słabość stworzenia, które zgodziło się na to, by być miłowane.

UCIECZKA W STANIE BEZRUCHU

Nowicjat siostry Józefiny jest zapisany na niekończącej się karcie klinicznej. Czytamy: „hiszpanka”, odoskrzelowe zapalenie płuc, zapalenie pęcherzyków płucnych, gruźlica płuc, ataki dusznicy bolesnej, gruźlica kręgosłupa (z uszkodzeniem kręgow, a w konsekwencji usztywnieniem kończyn dolnych) i w końcu zapalenie opon mózgowych. Jej zwykłym pokarmem jest odrobina rozcieńczonego mleka, które przyjmuje za pomocą szklanej rurki.

Bardziej niż przyswajając sobie teksty duchowości karmelitańskiej, musi zagłębiać się w całym zestawie terminologii medycznej, niejasnej i niepokojącej. Józefina jako siostra rodzi się na krzyżu i kształtuje się podczas niekończącego się nowicjatu w szkole cierpienia. Powie: „Cierpienie jest moją kołyską”.

Dojrzewa w niej powoli świadomość, że jest wybrana przez Boga jako „pole Jego najgłębszego działania”. Pole, gdzie Bóg składa, jak ziarna, cierpienia swojej Męki. I odtąd formułuje postanowienie, które stanie się motywem przewodnim całego jej życia: „Chcę żyć umierając”. Jej powołanie nabiera coraz bardziej konkretnych kształtów: „Chcę być prawdziwą mniszką karmelitańską, także jako chora, jako bezsilna”.

Zrozumiała, że warunkami najbardziej pożądanymi dla niej są te najbardziej niewdzięczne. Że terenem jej wzrostu jest ziemia sucha, surowa, ziemia Kalwarii. Że jej możliwości będą wydobywane, niejako wyciśnięte, z życia „niemożliwego”.

Pewnego dnia usłyszy wyraźny „głos”, który przyniesie jej jedyną w swoim rodzaju „dobrą nowinę”, która dotyczy tylko jej: „Twoje życie będzie pełne wyrzeczeń”.

Od tej chwili jednak Józefina wyczuwa i przeżywa w bólu, z całą oczywistością to, co stanie się „skandaliczną” rzeczywistością jej powołania. Zaczyna szybko swoją bulwersującą „ucieczkę w bezruchu”. Jest kimś, kto osiąga Boga na końcu swojej drogi, bardzo powolnej, utrapionej. Krok po kroku. Zdobyć po zdobyczy. Józefina znajdzie Go natychmiast na zawrotnej drodze unieruchomienia. Zdobędzie Go dzięki swej bezsilności.

Jakby to nie zdawało się paradoksalne, ona zna, uczy się Boga przede wszystkim dzięki dokumentom medycznym, które nie dają żadnego uspokojenia.

Bóg daje jej znak w nocy najbardziej ciemnej i nieprzeniknionej. Każe jej wędrować przygważdżając ją. Proponuje jej swoje niezmiernie horyzonty w dusznych granicach łóżka umieszczonego w malutkim pokoju. Ustala jako miejsce spotkania udręczone ciało, w którym czają się najbardziej zdradliwe choroby. Naznacza decydujące spotkanie w ogrodzie, w którym bujnie rosną ciernie.

Józefina nie rozumie i nie od razu akceptuje ten absurdalny projekt, absurdalny z punktu widzenia logiki ludzkiej. Nie jest w stanie szybko nauczyć się tej „głupoty”, być za pan brat z tym szaleństwem. Chciałaby uciec. Nigdy nie przypuszczała, że wahadło, doszedłszy do punktu ekstremalnego, gdzie zamieszkuje jej Bóg, mogłoby się zatrzymać, zablokować. Że czas dla niej miałby się zatrzymać w nieubłaganej sztywności łóżka, punkcie lądowania mało wzniosłym, na drodze obsianej niepewnościami.

Nie ma nawet satysfakcji powiedzenia: „wyruszyłam”. Nieruchoma, zanim jeszcze zrobiła krok. Droga kończy się dla niej w punkcie startu. Pozostaje pełna lęku, wątpliwości: już doszła czy skazana na niewyruszenie? Przedwczesne uwieńczenie marzenia czy też nieubłagane zderzenie? I czy to, co później odkryje jako kołyskę, miałyby być trumną jej powołania?

Lepiej uciec. Po to, by czuć, że się żyje. Może łatwiej jest „umierać żyjąc”, jak to jest u wszystkich, niż „żyć umierając”, czego – jak się wydaje – żąda się od niej. „Żyć, zdążając ku śmierci”, wywołuje mniej lęku niż „umierać za życia”.

Józefina zaczyna swoją bulwersującą „ucieczkę w stanie bezruchu”. Akceptuje szaleńczy zakład, który każe wrócić... naprzód, by pchnąć wahadło, które zostało zatrzymane w punkcie szczytowym, pchnąć bardziej tam, poza terażniejszość, w obszar nieskończoności.

Specyficzne powołanie siostry Józefiny będzie polegać dokładnie na ukazywaniu, że przeszkoda, niemożność, jest miejscem odpowiednim na to, by śpiewać „wielkie rzeczy”, jakie Pan uczynił. Że choroba może stać się objawieniem potęgi Boga. Że ciało zmasakrowane, ogród pełen cierni, jest ziemią płodną, urodzajną, gdzie rosną dzieła Najwyższego. Że noc ciemna, niekończąca się, jest polem, na którym Stwórca zasiewa światło. Że ucieczka w stanie bezruchu stanowi środek uprzywilejowany, udzielany stworzeniu, by mogło kontemplować oblicze swojego Boga.

Naprzód, siostró Józefino. Naprzód, w twoim powolnym krzyżowaniu. Naprzód, w twoim rozwijającym się paraliżu. Zresztą, już od lat dziecięcych, zaczęłaś... nie chodzić. Stałaś się szybko dziewczyną cudowną, w ujemnym sensie tego słowa. Te chwiejące się nóżki były znakiem twojej „specjalizacji”.

Nie bój się wejść na bezgraniczny teren twojej ciasnej celki. Nie zaprzestań wysiłku, by wydobywać przestrzeń tajemnicy ukrytej w twoim łóżku osoby chorej.

Potrzebujemy uzdrowienia naszej neurotycznej aktywności, naszego obsesyjnego protagonizmu. Musimy nauczyć się, że ten najwięcej pokonuje drogi, kto pozwala przechwycić się Bogu.

Siostró Józefino, już najwyższy czas, żebyśmy się przekonali, że starania w nawiązaniu bliskości nie są nasze, ale Jego. Że najmocniejszy sznur jest nicią cieniutką, która nas wiedzie nie wiadomo gdzie. Że bezpieczeństwo jest dane przez oddanie się bez zastrzeżeń Temu, który czasem staje się obecny w nieprzynoszących pokoju kwitach medycznych. Że stworzeniem najbardziej nieuchwytnym i nieprzewidywalnym jest takie, które pozwala się przygwoździć do krzyża.

Siostró Józefino, daj nam zrozumieć, że powołanie nie oznacza rzucenia się w kierunku Boga, ale odnalezienie siebie jako niezdolnych do biegu, do działania, w sposób taki, jaki my byśmy chcieli, w przestrzeni naszych możliwości. Odkryć w sobie niemożliwość dawania, a więc zdolność do przyjmowania.

„Wezwany” zwykle prosi Pana: „Co chcesz, bym dla Ciebie uczynił?”. Ty dajesz nam zrozumieć, że pytaniem fundamentalnym jest inne: „Co chcesz uczynić dla mnie, we mnie, przeze mnie?”.

Wbrew pozorom, łatwiej jest czynić niż pozwalać czynić... Mniej kosztowne jest dawanie niż przyjmowanie. Łatwiej jest uczyć się bycia protagonistami niż stawać się niewidocznymi. Łatwiej jest wchodzić na scenę, niż stać w ciemności i czekać.

Żebrak jest tu, u drzwi, i puka w oczekiwaniu, czy ktoś przyjmie Jego działanie. Niech będzie na tyle dyspozycyjny, by stać się miejscem, gdzie On może działać. By ubogacić świat, Boski Żebrak potrzebuje ubogich z pustymi rękami. By osiągnąć ludzi, Przechodzień zwraca się do stworzenia takiego, jak siostra Józefina, przygwożdżonego do łóżka. By czynić cuda, Bóg wybiera biedną, chorą kobietę, która uznaje swoją niemoc.

Nowicjat siostry Józefiny oznacza twardą praktykę słabości, niewiarygodne zwyciężenie przeszkody.

BŁOGOSŁAWIENI NIEUŻYTECZNI...

W nocy zapala się malutka lampka. Jej. Oczy pieką. Głowa z trudem się utrzymuje. Opiera się. Musi być użyteczna. Klasztor przeżywa trudny czas. Jest ktoś, kto daje z siebie wszystko, z zaangażowaniem, które musiało przybrać szlachetne racje, by móc zdusić w zarodku rodzący się pączek.

Ojciec Romuald ściąga na siebie i swoje „dziecko” żniwo raczej nie do pozazdrosczenia – antypatii środowisk klerikalnych, podejrzeń i przeszkód wszelkiego rodzaju. Kiedy łączą się i wybuchają różne nieszczęścia, kiedy ktoś staje się tarczą w krzyżowym ogniu plotek i uprzedzeń, zazdrości i partykularyzmów, istnieje prawie pewność, że idzie się właściwą drogą, a dzieło ma pieczęć woli Bożej. Tymczasem jednak trzeba chodzić po ostrych kamieniach, robić rozrachunki z trudnościami wszelkiego rodzaju, unikać zasadzek (zwłaszcza tych prawnych) rozsiewanych wszędzie, stawiać czoła obostrzeniom ekonomicznym.

W klasztorze żyje się wskazaniem: oprócz modlitwy, należy pilnie pracować, by zarobić na życie, by nie dopuścić do fiaska fundacji, czego wielu by sobie gorąco życzyło. Józefina bierze na poważnie to zalecenie.

Jesteśmy we wrześniu 1920 roku. Nie ogranicza się więc tylko do modlitwy i ofiarowania własnych cierpień, które stają się coraz

bardziej dokuczliwe. Nie zamierza być ciężarem dla wspólnoty. A więc, nie mówiąc o swoim cierpieniu, nie zważając na ekstremalną słabość, na kaszel i gorączkę, pracuje dniami i nocami, nie opuszczając łóżka. Współsiostry starają się odwieść ją od tego zamiaru. Ale jej udaje się je przekonać, że mogą poświęcić się czemuś konkretnemu, tylko zyska na zdrowiu. A jest to praca, która wymaga niewiarygodnego zasobu cierpliwości i która wydaje się stworzona specjalnie po to, by wciągnąć człowieka w całą sieć utrudzenia i nudy. Chodzi o nawlekanie, z pomocą cieniutkiej igły, koralików (w których są małe otworki, prawie niewidoczne), które mają stać się sprzączkami do butów. Jeden sold za każdą sprzączkę. Ona, za cenę „cierpień, których nie da się opisać”, z oczami, zdaje się, jakby w ogniu, jest w stanie wykonać około dwudziestu dziennie. Później kolej na aplikację koralików na tiul, używany do kreacji teatralnych.

Mamy więc „wahadelka”.

W końcu trzeba zająć się frędzlami. Tym razem znalazła zajęcie, bez potrzeby uciekania się do stenografii. Pracuje także nocą. Gdy dzwoni „budzik” ze słynnymi „deszczułkami” (dwa ruchome kawałki drewna przyłączone do trzeciego wzdłuż jednego boku, które uderzając o siebie wydają hałas niewyobrażalny; tak zwana „matraka” – przyp. tłum.), ukrywa dowody przestępstwa, by nie wzbudzać zdziwienia sióstr. Sama wyzna w Autobiografii:

by jakoś zrekompensować długość mojej pracy a tak mały zarobek, pracowałam nocami przy słabym świetle oliwnej lampki, wykorzystując fakt, że przez cierpienia długo nie mogę spać.

Józefina jeszcze nie uwolniła się od idei użyteczności. Trzeba będzie jeszcze czasu, by zdała sobie sprawę z tego, że jej obecność w Karmelu jest usprawiedliwiona wyłącznie przez nieużyteczność. Józefina musi zapewnić swoją wspólnotę o służbie nieużytecznego. Darmowość. Wszystko jest darem Boga – to jedna z najtrudniejszych lekcji, jakiej trzeba się nauczyć w życiu duchowym.

Tymczasem, 11 października 1920 roku, nowa budowla jest prawie gotowa na przyjęcie wspólnoty. Każdy kamień składający się na klasztor został opłacony ofiarami, pracą, łzami i niewyobrażalnymi wyrzeczeniami. Jest to przejście do siedziby zaledwie ukończonej.

Józefina od początku nie ośmiela się wyrazić swojego pragnienia. W gruncie rzeczy, w ciągu tych dwu i pół roku pozostawała w klasztorze, ponieważ chorując nie była w stanie powrócić do domu. Mama podczas swoich okresowych wizyt na nic innego nie czekała, jak tylko na przerwę w chorobie, by przenieść córkę na łono rodziny.

Siostra Józefina nie opuściła Ponti Rossi z powodów pochodzących od siły wyższej. I teraz lęka się swojego nielegalnego pobytu, lęka się bycia intruzem, ciężarem dla wszystkich. Istnieje ryzyko, że tymczasowa równowaga fundacji ostatecznie zostanie zachwiana trudnościami związanymi z jej „nieużyteczną” obecnością. A może nawet skompromitowana.

W końcu znajduje dość odwagi, by prosić o przyłączenie do sióstr, które się „tam” ulokowały. Ojciec Romuald, po dojrzałym przemyśleniu sprawy, mówi „tak”. Również i członkinie nowej wspólnoty zakonnej wyraziły radość z przygarnięcia Józefiny i dalszej możliwości otoczenia jej opieką i troską, jakiej potrzebuje. W ten sposób weszła w skład wspólnoty, pomimo choroby.

Nie znajduje sił, by przejść cały klasztor. Ale nie szkodzi. Jej „wzięcie w posiadanie” klasztoru nie jest z pewnością w porządku fizycznym. Jest to wymiar dla niej szczególny i nie jest on z pewnością wymiarem w sensie geograficznym.

Należy uczciwie podkreślić dalekowzroczność nowej wspólnoty. Niewiele wydarzeń. Potrzeba znacznej dozy odwagi i zdolności do oceny według kryteriów niezwykłych, by przyjąć tę postulantkę pod wieloma względami odbiegającą od normy. Byłoby wiele motywów, a co najmniej usprawiedliwień, by się jej

pozbyć. W większości środowisk Józefinę wyrzucono by za drzwi „ze względu na stan zdrowia”. Tutaj natomiast została najpierw przyjęta tymczasowo, później bez zastrzeżeń i w sposób definitywny właśnie „ze względu na stan zdrowia”.

Na Ponti Rossi w tych czasach odczuwano potrzebę chleba i wszystkiego innego. Ale ponad wszystko potrzebowano siostry chorej. Uboga wspólnota nie mogła obyć się bez bogactwa, które stanowiła siostra „nieużyteczna”. Pierwszym darem Ducha udzielonym nowej fundacji, jak sądzę, było właśnie to: oświecenie sióstr co do wagi posiadania między sobą obecności nietypowej, jako gwarancji równowagi różnej od ludzkiej i prawnej.

Siostra Józefina, oczywiście po Chrystusie, będzie stanowić kamień fundamentalny nowej budowli. Kamień, który byłby odrzucony z lekceważeniem przez tylu budowniczych rozważnych „według ciała”, kamień tak niepewny, kruchy jak szkło, zawsze o krok od roztrzaskania się, potrzebujący nieustannej uwagi ze strony wszystkich, będzie kamieniem, który da wszystkim bezpieczeństwo. Wewnątrz i na zewnątrz klasztoru.

Błogosławieni, którzy umieją robić rachunki inne od tych, do których przywykliśmy. Błogosławieni ci, którzy – by wyrównać rachunki – mają odwagę włączyć rubrykę (i ciężar) nieużytecznego. Błogosławiony, kto umie widzieć więcej niż czubek własnego nosa, własnej kasy, pilnych interesów, a nawet karty klinicznej, która nie wróży niczego dobrego. Jednym słowem: błogosławieni, którzy opierają się pokusie odrzucenia szaleńczego planu Boga i promują z najlepszymi ocenami jego „głupotę”.

Jeśli obecnie mamy do dyspozycji jedną siostrę i jedną mistyczkę kalibru siostry Józefiny, to zawdzięczamy to także „tak” wypowiedzianemu przez cały oddział kobiet, które umiały dostrzec skarb tam, gdzie wielu innych zobaczyłoby jedynie przytłaczające brzemień do zrzucenia z siebie, zresztą bez nadmiernych wyrzutów.

KTO ZAPOMNIAŁ O KLĘBKU ŻELAZNYCH NICI?

Trudno jest opisać jej krzyż. Trzeba wyobrazić sobie osobę poskręcaną, sztywną, zwiniętą w kłębek..., tylko że ten kłębek jest z nici żelaznych. Tak, Józefina oprócz tego, że jest okrutnie szarpana na różne strony, że jest zesztyniała, jest doprowadzona do stanu pogmatwanego kłębka. Każdy ruch, nawet ten ledwo dostrzegalny, wywołuje rozdzierający ból. A faktycznie nie może ruszyć się prawie wcale. Już nie ma władzy nad ciałem. Od bioder do stóp czuje ciało jakby coś obcego. Od pasa w górę odczuwa jakby stalową zbroję, która ją ściska, miążdży, przydusza.

Uszkodzenia kręgow powoduje prawie całkowity niedowład. Także wargi są sparaliżowane. Żeby ją nakarmić, trzeba stosować szklaną rurkę. Oczy, choć zachowały swój płomienny blask, który wywiera wielkie wrażenie na każdym, kto się do niej zbliża, są uderzająco nieruchome, wpatrzone dniami i nocami w obraz św. Józefa zawieszony na ścianie celki.

Jest to postępujący kryzys, coraz bardziej alarmujący, który trwa nieprzerwanie od Bożego Ciała 1921 roku. Józefina cierpi na straszne bóle żołądka. Lekarz podejrzewa raka. Kapłan udziela jej sakramentu chorych.

Inny zastraszający kryzys ma miejsce 6 czerwca 1922 roku. Ataki anginy, które zdają się dochodzić do przerywania cieniutkiej nici tego „niemożliwego” życia. Następne Ostatnie Namaszczenie.

Mama jest przy niej obecna z wypisaną na twarzy troską. Ona, po szalonych atakach bólu, jest zupełnie pozbawiona energii. Po każdym takim ataku ma wrażenie, że jest stopniowo zamykana w żelaznej klitce. Napisze: „Czułam, że ciało staje się ciężkie, jakby było z żelaza i traciłam możliwość ruchu”. I jeszcze: „jakby klatka piersiowa była ściśnięta jakąś zbroją i nie odczuwałam bicia serca”.

Siostry, które poświęcały się bez chwili wytchnienia, by przynieść Józefinie choć trochę ulgi, nagromadziły stosy poduszek.

Próbowały ułożyć ją tak, by pozycja nie wywoływała zbyt wielkiego cierpienia. Wszystko na próżno. Poduszki wydawały się kamieniami. Trzeba było czterech sióstr, by powoli ją podnieść. Pomimo delikatności pomocniczek, Józefina doświadcza okropnych boleści i szepcze, jakby w poczuciu winy, że nowa pozycja jest bardziej nieznośna od poprzedniej. I trzeba zacząć wszystko od początku z dozą niewyczerpanej cierpliwości dla obydwu stron.

Tragiczne jest to, że infirmerki bez przygotowania nie są w stanie wytrzymać widoku cierpień swojej młodej siostrzyczki. I im bardziej starają się przynieść jej ulgę, tym bardziej je zwiększają. Józefina, oprócz fizycznego bólu, oskarża siebie o sprawianie im zawodu i upokorzenia, o ich poczucie bezsilności. Poduszki stanowią osobny dramat. Powinny być czymś delikatnym, miękkim, dającym wypoczynek, ale pacjentka odczuwa je cudem „na opak”, jako ostre kamienie, które przebijają ciało. Doszło do tego, że położono ich prawie tuzin. Swoista tortura dla korzystającej z dobrodziejstwa. A jednak, gdy odsunięto poduszki, dostaje zawrotów głowy i zdaje się jej, że spada w próżnię.

Oprócz udręek w ciele, Józefina doświadcza równie rozdzierających cierpień duszy. Jest dręczona odczuciem pustki, męki, lęku, nudy, mdłości. Dołączają się do tego jeszcze skrupuły. Boi się, że nie cierpi tak, jak powinna. Ma wrażenie, że nie znosi wszystkiego z dostateczną miłością. W szczególności oskarża się wobec sióstr, że daje im zły przykład, nie dając się niczym zadowolić. One, na szczęście, mają dobry zmysł obracania rzeczy w żart. W klasztorze dobrodusznie śmieją się, z pewną czułością, z tak zwanych „grzechów poduszek”.

Niektórzy z lekarzy jednak domagają się jasnego stawiania sprawy. Podejrzewa się, że, w przypadku choroby Józefiny, dużą rolę odgrywa element natury psychicznej i nerwowej. Krótko mówiąc: są obawy, że biedaczka gra rolę „chorej z urojenia”, albo coś podobnego.

Wybitny ekspert w zakresie neurologii, wspierany przez swojego młodego kolegę, ucieka się do subtelnej broni sugestii. Chora powinna przekonać siebie samą, że jest w stanie utrzymać się na nogach. Ona deklaruje swoją dyspozycyjność wobec polecenia, chcąc zejść z łóżka. Ale sprawa pozostaje w sferze intencji. Faktycznie nie jest w stanie ruszyć się z miejsca nawet o milimetr. Zatem przechodzą do poleceń bardziej stanowczych, odwołując się do imienia Boga. Józefina chciałaby być posłuszna, ale nie udaje się. Pozostaje sztywna jak kawałek drewna; wydaje się, że ciało zapuściło korzenie, nie powiem, że tylko w materacu, ale w podłodze. Ale tych dwóch nie daje za wygraną. Podnoszą pacjentkę jak nieruchomy głaz. Opowie sama zainteresowana:

W tej chwili moje ciało było porażone tak potężnym wstrząsem, że można by go porównać do wyładowania elektrycznego. Mówiono mi później, że miałam twarz zmarłej i dwóch lekarzy patrzyło na mnie z przerażeniem. Szybko na nowo położono mnie do łóżka.

Regularne wizyty, intensywne próby w celu sprawdzenia wrażliwości kończyn za pomocą żelaznych narzędzi i szpil, by w końcu postawić diagnozę, już kilka miesięcy wcześniej sformułowaną: gruźlica kręgosłupa, uszkodzenie kręgow, całkowity niedowład.

Tymczasem Józefina, która z chorej rzekomo z urojenia stała się rzeczywiście osobą chorą (i to nieuleczalnie), ma się coraz gorzej. Dwudziestego trzeciego września 1922 roku klębek z żelaznych nici zostaje powalony potężnym wstrząsem. Ma wrażenie, że głowa fika koziołki, stacza się po poduszkach. Całe ciało doznaje gwałtownego skurczu. Wzrok i słuch stają się bardzo słabe. Gorączka pozostawia Józefinę w stanie ekstremalnego wycieńczenia.

Lekarz ogłasza następną mrozącą krew w żyłach wieść: zapalenie opon mózgowych. Od tego momentu, oprócz poduszek, nieodzowne są również dwie torby z lodem, które stale mają być

umieszczane jedna pod karkiem, druga pod głową. Zainteresowana opisuje swoją sytuację w słowach pełnych realizmu:

Czułam, że głowę mam w ogniu, skręcałam się jak kurczak, którego zabijają i krzyczałam, nawet tego nie spostrzegając.

Nie można było jej uczesać, czy nawet jakoś ułożyć włosów. Wystarczyło najlżejsze dotknięcie palcem w głowę, by sprawić jej niezwykle, ostry ból. Józefina uczestniczy w Męce Chrystusa także w tej „stacji” obnażenia. Pewnego razu siostry przemieszczając łód wzdłuż kręgosłupa zauważyły, że biedaczka jest zgięta i zeszywniała w tej pozycji. Przez wiele godzin trwało nakładanie koszulki. Komentuje oględnie: „Jakież smutek i jakie przygnębienie odczuwa dusza moja...”. I dodaje:

W tym czasie lekarz przychodził do mnie z wizytą codziennie i znajdował mnie w coraz gorszym stanie. Nie miał niczego do zalecenia, bo każdy środek, jaki zalecał, zdawał się tylko pogarszać mój stan. Litość i żal wzbudzały w nim moje cierpienia i nie miał odwagi mnie opuścić.

U mojego wezglowia służył mi bardziej jako pielęgniarz niż jako lekarz, a znając mnie od dziecka, opiekował się mną jak ojciec. Współsiostry, martwiąc się, bym w tym czasie nie umarła w ich ramionach, czekały na niego, by mnie przebrać, a on był zadowolony, że mógł mi przynieść trochę ulgi...

Ponieważ obawiano się, że najlżejsze dotknięcie może pogorszyć jej stan, przez wiele miesięcy nikt nie miał odwagi prześcielić jej łóżka. A ona spoczywała w nim zagłębiona w rodzaju dołu.

Od grudnia 1922 roku do czerwca następnego roku leży wyłącznie na prawym boku. To tortura unieruchomienia. Łóżko zdaje się jej kamiennym grobem, w którym jednak nie można spocząć, ponieważ kamień wbija się w jej żywe ciało. Otóż to. Martwe ciało, głuche, które nie jest posłuszne na jej rozkazy. Ale przekazuje jej punktualnie, z okrutną wiernością, wszystkie cier-

pienia, jakimi jest dręczone, i spisuje je ze swoją ogromną wrażliwością.

Józefina jest tam, nieruchomy kloc. Pełna bólu, który ją miazdzy, ale także i miłości, która powoli ją przemienia. Żyje dniem, co po ludzku wydaje się niemożliwe, w głębokim skupieniu, znajdując odpocznienie na krzyżu Chrystusa (siostra Gabriela od Narodzenia).

Może myśli o nowej, bulwersującej fazie gry Boga, która zdaje się nigdy nie kończyć. Klębek żelaznych nici leży zapomniany w łóżku. Co Pan chce z nim zrobić? Kopniak byłby może lepszy od tego oślepiającego bezruchu. Profesor Onofrio Messina, który przychodzi do Karmelu w towarzystwie córki, by zlecić pracę hafciarską, po wizycie u chorej potrząsa głową: „To już nie człowiek, ale sterta kości”.

Lekarz pierwszego kontaktu, który przychodzi codziennie, o każdej porze i zawsze odchodzi z rozdartym sercem (to widok nie do wytrzymania także dla kogoś, kto, jak on, jest zmuszony oglądać wiele i wszelkiego rodzaju nieszczęścia), orzeka poważnie: „Tylko cud mógłby ją uleczyć... Ale święci nie czynią cudów”. Twierdzenie jest prawdziwe tylko w pierwszej części. W rzeczywistości, skoro święci nie czynią cudów, co to za święci?

W takim mieście jak Neapol, które od zawsze na własnej skórze doświadcza niewiarygodnych nieszczęść i sytuacji najbardziej absurdalnych, ludzie nie zrozumieliby, że mogą być święci, którzy nie czynią cudów.

Józefina ze swej strony nie myśli o cudzie. Nie śmie nawet pragnąć. Zadowoliliby się „cieniem znaku Boga”. Klębek żelaznych nici straszliwie poskręcanych i pogmatwanych, od lat (albo od wieków?) rzuconych na kamienne łóżko, uparcie czeka... Była to okrutna gra. Ale teraz ta przerwa w grze, która trwa od lat (albo od wieków?) jest wręcz nie do zniesienia. „Jak długo, Panie?”.

KŁĘBEK ŻELAZNYCH NICI ZNÓW ZOSTAŁ OKRYTY WELNĄ

Potrzebna była ręka z wysoka, by rozplątać ten zmaltretowany motek. Dokładniej, ramię. Pamiętając, że chodzi o poskręcany kłębek żelaznych nici, ramię musiało być z żelaza.

Sprawy miały się tak. Józefina miała dziwny sen (było to na początku wiosny 1923 roku). Posłuchajmy jej samej:

Znalazłam się blisko jakiegoś Świętego, u którego stóp znajdował się czarny, nagi człowiek opasany wstęgą, u dołu czerwoną. Na głowie miał biały turban i siedział na ziemi na sposób hinduski... Święty był w czarnym ubraniu, przepasany pasem także czarnym, a ramiona miał okryte pelerynką. Trzymał w ręku długi kij, taki, jakiego używa się chodząc po górach... Zaraz potem usłyszałam głos, który mi mówił: „Święty Franciszek uwolnił cię od choroby kręgosłupa...”.

Choć, zgodnie z kilka razy powtarzanymi deklaracjami, nie wierzy w sny, powiedziała o tym siostrze Marii Katarzynie. Początkowo miała wątpliwości, czy aby to żelazne ramię nie jest ramieniem demona. Ale współsiostra poprosiła ją raczej o opisanie postaci świętego.

Kto to był? Wykluczono św. Franciszka z Asyżu: nie miał stygmatów. Nie mogło chodzić o św. Franciszka Paulo, ponieważ nie nosił kaptura. A może Franciszek Salezy? Nie, ponieważ nie nosił insygniów biskupich. Pierwszy prowizoryczny wniosek: był to św. Franciszek kapłan. Tożsamość osoby jednak pozostała nieznaną. Później, pewnego dnia Józefinie przypadkowo wpadła do ręki pobożnościowa broszurka zawierająca nowennę ku czci św. Franciszka Ksawerego, apostoła Indii. Osłupiała. Natychmiast rozpoznała, na obrazku wydrukowanym na jednej ze stron, postać świętego, który ukazał się jej we śnie.

Początkowo źle to przyjęła. Z wielką szczerością wyzna, że wolałaby być uzdrowiona przez „swojego” św. Józefa, który od najmłodszych lat był bardzo bliski jej sercu. Przekonano ją, że powinna prosić o cud uzdrowienia właśnie św. Franciszka Ksa-

werego. Od razu pojawiła się trudność związana z... odległością. Trudno jest sprawić, by ramię zostało sprowadzone z Indii. Żadna z sióstr nie wiedziała, że cenna relikwia jest przechowywana w Rzymie i właśnie w tych dniach ma nawiedzać różne miasta włoskie z okazji przypadającej rocznicy kanonizacji świętego.

Wkrótce jedna niewiasta przysłała do klasztoru, przynosząc wiadomość, że sławne ramię ma nawiedzić także Neapol, dokładnie 21 czerwca. Józefina nie mogła nie powtórzyć sobie zdania, które usłyszała we śnie: „Święty Franciszek uwolnił cię od choroby kręgosłupa”. Zintensyfikowała modlitwy, nie zawahała się poprosić, by relikwia została przyniesiona do jej wezgłowia. Matka, siostra Teresa, poparta przez ojca Romualda, otrzymała wyraźną obietnicę w tym względzie od ojców jezuitów. Data została ustalona na 26 czerwca.

Wigilia. Cały klasztor był poruszony. Nawet lekarz ze swoim sceptycyzmem (nie można zapomnieć, że był wspaniałym chrześcijaninem, nie mówiąc już, że także doskonałym profesjonalistą) nie zdołał zgasić nadziei, kiedy oznajmił: „Jutro na mnie nie czekajcie. Nie mam odwagi być świadkiem waszego rozczarowania. Chcecie cudu? Dla mnie byłoby już cudem ujście jej siedzącej na łóżku... Ale ani to się nie stanie, niestety...”.

Następnego dnia gromada wiernych zebrała się w kaplicy klasztornej. Jakiś ksiądz obcesowo, płomiennymi słowami, starał się rozpaść choć iskierkę wiary: „Jesteście zimni jak lód. Nikt nie wierzy we wszechmoc Boga”.

Relikwia dotarła do klasztoru we wczesnych godzinach popołudniowych. Chwilę przedtem jakiś gorliwy zakonnik (nie brakuje ich nigdy przy podobnych okazjach) poczuł się obowiązany skierować do Józefiny ostrą reprimendę na temat pokory: „Bóg każe wam cierpieć, bo do niczego innego się nie nadajecie”. A ona mogłaby mieć co do tego zastrzeżenia. Cierpienia nie uważała za karę, ale przywilej, dowód miłości. Woląca otulić się milczeniem.

Sama, zanurzona w najbardziej okrutnych cierpieniach, ale także w głębokim pokoju. Nie słyszałam ani kroku dobiegającego z dormitara, ani głosu, ani hałasu, a jednak czułam się szczęśliwa mając serce wypełnione Bogiem i intensywnie modliłam się, by wypełniła się we mnie Jego Wola.

Może czeka na „cień znaku”, jeśli nie na kopnięcie piłki z powykręcanego żelaza. Uderzył ją potężny śpiew *Magnificat*. Ileż to razy powtarzała te słowa, tak bardzo drogie, podczas miesięcy (albo wieków?) unieruchomienia. Powie:

Ile razy w najokrutniejszych męczarniach powtarzałam w zjednoczeniu z Maryją ten hymn wielbiący Pana, by wybłagać łaski, szczególnie daru cierpliwości w znoszeniu tyłu chorób, w znoszeniu tych poduszek, które wydawały się kamieniami, lodowych toreb, które mi mroziły wszystkie członki, znoszeniu wody, która się z nich sączyła zanim mi je zdjęli, i włosów zmierzwionych, skurczów, które mi zadawały takie katusze!...

Ile razy odmawiałam *Magnificat*, by wybłagać słodycz, siłę, odwagę, by iść dalej nie słabnąc w wierze, nie tracąc nadziei, by być stale rozpalona miłością. Ileż razy prosiłam Pana, ofiarując Mu *Magnificat*, o uległość w obliczu śmierci i pomoce potrzebne w tym ostatnim momencie!

Procesja tymczasem wchodzi do jej celi. Relikwia jest niesiona przez ojca Romualda, z towarzyszącymi mu: ojcem Aromatisi, jezuitą, jednym z jego współbraci oraz karmelitami bosymi – ojcem Symeonem od Matki Bożej Bolesnej i ojcem Serafinem od Serca Jezusa, z don Dolindo Ruotolo i siostrą Teresą. Chora chciałaby ucałować relikwię, ale zdaje się, że żelazne ramię unieruchamia ją, doprowadzając do statyczności rzeczy martwej.

Miałam silne natchnienie, by wstać i przycisnąć... Ramię, które przybyło, by mi pobłogosławić. Nie mogłam iść za impulsem, nie mogłam nawet poruszyć oczami ani głową, ani ruszyć choć palcem, by wyrazić radość i wielkie wzruszenie mojego serca.

Pozostawałam pogrzebana w moich poduszkach w tej samej pozycji, w której się znalazłam 23 grudnia 1922 roku, kiedy to po raz

ostatni współsiostry, z wielkim wysiłkiem, trudem i z niemalą dozą ryzyka zdołały przewrócić mnie z lewego boku na prawy. Pozostałam przygniatająca do krzyża, zanurzona w morzu boleści, podczas gdy wszyscy z niepokojem oczekiwali na działanie Świętego.

Relikwię zbliżono do kręgosłupa, niewyczerpanego ogniska wszystkich chorób. Wszyscy modlą się intensywnie. Ale nic się nie dzieje. Ojciec Aromatisi daje znak, że trzeba się spieszyć, nie można zwlekać dłużej. Wielu chorych czeka.

Odczułam w duszy wielki pokój, i poddana Boskim rządzeniom poprosiłam Świętego o łaskę przynajmniej znoszenia z miłością poduszek oraz o dobrą śmierć.

Coś jednak zaczęło się dziać. Lewe ramię Józefiny podnosi się w kierunku relikwii. Opowiada naoczny świadek, ojciec Symeon:

W chwili, gdy Święta Relikwia została odsunięta od jej ust, jakby przez nią przyciągana, Sługa Boży podniosła się na łóżku, choć do tej chwili stała nieruchoma. Następnie zdjęła torbę lodową, która znajdowała się na głowie i rzuciła ją na ziemię. Ta, którą miała na karku, spadła sama.

Prostsze i bardziej skuteczne jest opowiadanie samej Józefiny:

Poczułam lekkie pchnięcie w ramiona. Powoli pchnięcie zmieniło się jakby w wiatr, który mnie pchał zmuszając do siedzenia na łóżku. Natomiast siła przeciwna na nowo pchała mnie na poduszki tak, że czułam się jak na morzu – rzucana falami i przenoszona przez wiatr.

Mijają minuty pełnego obawy oczekiwania, wielkiego wzruszenia i modlitwy coraz żarliwszej. Później ktoś zasugerował ojcu Romualdowi, by w imię posłuszeństwa nakazać Józefinie wstać.

To nie posłuszeństwo sprawiło, że mogłam to zrobić, ale zawierając Bogu, wszystko było dla mnie możliwe. Zwróciłam się do Jezusa i św. Franciszka Ksawerego mówiąc im: „Bądźcie Wy za mnie posłuszni...”. Zaledwie wypowiedziałam te słowa, a już znalazłam się z nogami poza łóżkiem. Zobaczyłam, jak jestem zdeformowana, pokrzy-

wiona, z głową schyloną na piersi ku stronie prawej, z nogami jeszcze sztywnymi. Nie umiem powiedzieć, jakie było moje zdziwienie, gdy ujrzałam siebie tak wyniszczoną, choć rozumiałam straszny stan, do jakiego doprowadziła mnie choroba.

Obecni, widząc ją, jak się chwieje, wstrzymują oddech. Ona ich uspokaja i prosi o ubranie. Tymczasem dwóch ojców karmelitów, nie mogąc się powstrzymać, biegnie ku dzwonom. Są to te dzwony, które, jak sądzono, miały zadzwonić po raz pierwszy z okazji inauguracji nowego kościoła klasztornego, albo, co byłoby bardziej prawdopodobne, by obwieścić śmierć Józefiny. A tymczasem rozgłaszają na Monti radosną wieść.

Teraz ojciec Aromatisi oddalił się idąc korytarzem. Józefina, pośród ogólnego zamieszania, podąża za małym pochodem. Idąc powoli, czuje, jak „prostuje się jej głowa i ciało”. Ma wrażenie, że boski Twórca na nowo ją stwarza, na nowo kształtuje „część po części” (to jej własne określenia). Przede wszystkim jest pod wrażeniem tego dziwnego wiatru, który ją pcha z naciskiem, wręcz z despotyczną siłą. Rzeczywiście, czuje się „niesiona przez wiatr”. Staje się, jak antyczni mnisi, „dzieckiem wiatru”. Jest poza całą, nie chcąc nawet tego w sposób wyraźny. I raz jeszcze ogranicza się do tego, by „pozwoić się nieść”. W pobliżu schodów wszyscy namawiają ją, by poszła do łóżka. Ale ona nalega, by zejść po schodach.

Ojciec Symeon, który stoi obok, w symbolicznym geście narzuca jej na ramiona swój własny biały płaszcz (są to prawdziwe karmelitańskie obłóczyny Józefiny). I tak „uzdrowiona cudem” może towarzyszyć relikwii ramienia aż do furty, a później skupić się na modlitwie w kaplicy klasztornej.

W kościele Józefina przekonuje się, że zaczyna się dla niej „nowe życie”. A ten dzień jest dniem jej narodzenia.

Kłęcząc powiedziała Mu... że chcę wykorzystać dla Jego Chwały całe moje życie i nie chcę niczego na tym świecie dla siebie, z wyjątkiem Jego Miłości.

[...] Poczulałam w duszy, że życie, które mi zostało na powrót darowane, muszę zaangażować całe w zadaniu śmierci temu, co ziemskie, by móc rzeczywiście żyć w Bogu.

Przebiegając tam i z powrotem klasztor, Józefina instynktownie odbywa Drogę Krzyżową. Uznaje się za „ukrzyżowaną zmarłych”. Powróciwszy do celi, wyznaje bardzo szczerze, że na widok łóżka, miejsca jej tortur, doznała pewnego rodzaju odrazy. A potem ma wrażenie, że zapomniała, jak się poruszać. Odczuła się ruchu.

Odnajduje pokój (jeśli to nie sen), sądząc, że Ktoś nią porusza, niesie ją. Raz jeszcze, nie może nic innego zrobić, jak tylko... pozwolić działać. Gra jest podjęta. Klębek splątanych żelaznych nici znikł. Żelazne poskręcane nici stały się niemi wełny. Tak, właśnie płaszcz Dziewicy Karmelu, który niespodziewanie jej nałożono. Coś bardziej niż habit ogarnia ją i strzeże. To jej powołanie, jej życie, pieśń, która rozkwita wewnątrz. Zawsze klębek. Ale klębek, w który Ktoś w końcu włożył ręce...

Dzwony przestały świątecznie bić. Do doliny powraca milczenie. Ona dalej będzie wychwalać, rozprzestrzeniać radosną nowinę. *Magnificat* (...wielkie rzeczy uczynił Pan) nigdy nie zostanie przerwane w tej części Ponti Rossi. I trochę dalej.

BRAKUJE CUDÓW ALBO MAMY ZA MAŁO ŚWIĘTYCH?

Dwa różne zeszyty, które zatrzymują się na dacie 27 czerwca. „Następnego dnia...”.

Pierwsza scena.

Lekarz ponawia wspinaczkę po dróźce prowadzącej do klasztoru. Szpera w swoim słowniku człowieka, którego rzemiosło nie pozbawiło wrażliwości, aby znaleźć odpowiednie słowa pociechy,